

Wtorek, 18 lipca 2006 r.

Dziś wybiła godzina „0” dla ponad 200 osobowej grupy Polaków przebywających w tym momencie z różnych powodów w Libanie. Kilkadziesiąt osób znajduje się już od kilku dni w Ambasadzie RP w Bejrucie. Wszyscy muszą zadowolić się prowizorycznym zakwaterowaniem w różnorodnych pomieszczeniach, na korytarzach i na schodach budynku polskiej placówki dyplomatycznej. Pomimo tego, że bomby spadają dość blisko od budynku, to biorąc pod uwagę międzynarodowy status tego typu placówek, wszyscy czują, że i tak znajdują się w miejscu, które zapewnia im względne bezpieczeństwo.

Najtrudniej jest uspokoić dzieci, których w polskiej placówce jest wiele i które bardzo przeżywają każdą rozrywającą się bombę. Na pewno jeszcze długo po tej wojnie będą przeżywały jej czas. Ta trauma z pewnością wywrze wpływ na resztę ich życia. Trzeba już teraz pomyśleć o pomocy dla nich, aby po zakończeniu konfliktu mogły jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

W nocy bomby wybuchające w pobliskich dzielnicach oraz huk przelatujących samolotów i helikopterów nie pozwalają nikomu zmrzyć oka. Przez całą noc Maciej Woroch z TVN przebywa z polskimi uchodźcami, którzy liczą minuty dzielące ich od momentu opuszczenia tego piekła. To nie jest łatwa noc.



Jest zbyt niebezpiecznie. Polacy są zmuszeni opuścić kraj objęty wojną. Na zdjęciu- polskie media przed ambasadą Polski w Bejrucie w pierwszy dzień ewakuacji (fot. Kazimierz Gajowy).

Wybuchy powtarzają się jeden za drugim. O spaniu nie ma nawet mowy. Uchodźcom czas mija na dyskusjach i dodawaniu sobie nawzajem odwagi. Sen spędzają im z oczu nie tylko bomby, ale i czarne myśli o tym, co czeka ich nazajutrz. Czy autobusy odjadą? Czy droga będzie bezpieczna? Czy w ogóle dojadą do kraju i jakimi środkami? Jak zostaną przyjęci przez swoich rodaków w Polsce?

Pomimo ciągłych bombardowań, o świcie wyruszam wraz z ks. Jarkiem w stronę Bejrutu, do naszej ambasady. Zbliżając się do miasta, pozwalamy sobie na żart, że przynajmniej z powodu wojny drogi, które w normalnej sytuacji, już o tej porze dnia są całkowicie zakorkowane, teraz są puste. Jednak uśmiech znika nam szybko z twarzy, kiedy słyszymy przelatujące samoloty, a po chwili potężne wybuchy. Nagle dzwoni telefon, to konsul, bez żadnych zbędnych słów zadaje nam proste pytania, czy nie zapomnieliśmy o megafonie, który obiecaliśmy ze sobą zabrać z naszej szkoły, bo będzie nam bardzo potrzebny.

- *A długopisy, które obiecaliście załatwić?* – pyta konsul.
- *Wszystko jest ok.* – odpowiadam krótko.
- *Boję się, że może zabraknąć wody pitnej, gdybyście znaleźli coś po drodze to bierzcie* – prosi konsul – *potem się rozliczymy, tylko nie zapomnijcie o rachunku.*

Nawet wojna nie uwalnia nas od tej przeklętej biurokracji – myślę sobie – człowiek może zginąć, ale fakturę należy wziąć. Trzeba było widzieć minę Libańczyka, który nam tę wodę sprzedawał, kiedy, pomimo spadających obok bomb, natarczywie zmuszam go do wypisania faktury. Z lekkim uśmiechem sprzedawca dodaje cichym, ledwie słyszalnym głosem: *ciekawe, kto i komu wystawi fakturę za te wszystkie zniszczenia?* Szybko ładujemy do samochodu 20 kartonów wody, wszystko co ten człowiek miał w swoim sklepie i jedziemy dalej w stronę ambasady.

W chwili dotarcia w okolice polskiej placówki dyplomatycznej, zauważamy, że mimo ogólnego podniecenia, wszystko wydaje się być pod kontrolą. Niestety z miejsca widać to, że będziemy mieć kłopoty z nadmiarem bagaży i to mimo tego, że wszyscy zostali poinformowani o możliwości zabrania ze sobą wyłącznie jednej torby o wadze do 5 kilogramów. Ze zrozumiałych względów niemal każda osoba przekroczyła ten limit. Na całe szczęście konsul pomyślał o jednym rezerwowym autobusie. Również i on zostanie wykorzystany.

Odpowiedzialność za całość ewakuacji przejmuje pułkownik Marek Szelaąg. Spokojnym i pewnym głosem wydaje polecenia. Dostajemy wiadomość, że część ludzi jest jeszcze w drodze, pułkownik proponuje osobom starszym, chorym i kobietom w ciąży lub z małymi dziećmi, aby rozgościli się w pomieszczeniach ambasady, gdyż słońce zaczyna już porządnie dawać się we znaki. Osoby odpowiedzialne za autobusy, przy pomocy młodzieży, malują na ich dachach flagi biało-czerwone. Ma to być znak dla izraelskiego lotnictwa, które staraniem konsula zostało poinformowane o naszym konwoju.

Prawie bez spóźnienia słyszymy komendę: „ruszamy”. Konsul prosi nas, abyśmy towarzyszyli konwojowi aż do granicy z Syrią. Znając drogę, ruszamy z ks. Jarkiem jako pierwsi, bezpośrednio za samochodem żołnierzy libańskich, oddelegowanych przez szefa służb bezpieczeństwa wewnętrznego do ochrony naszego konwoju. O to też zadbał nasz konsul. Po opuszczeniu Bejrutu wszyscy oddychamy z ulgą. Po drodze w Junnie i w Byblos zabieramy małe grupki naszych rodaków, którzy sprawnie zajmują z góry przewidziane dla nich miejsca. Polskie media proszą nas nieustannie o aktualne wiadomości o przebiegu ewakuacji. Zauważamy, że dziennikarze są trochę zaskoczeni, że wszystko tak sprawnie idzie. W pewnym momencie zostaję poinformowany, że polskiemu MSZ nie podoba się, że tak dużo mówimy na żywo o trasie konwoju. Proszą nas, abyśmy nie podawali przynajmniej miejsc, w których w danej chwili konwój się znajduje. Jesteśmy posłuszni, choć uważamy, że trasa i jej przebieg jest znana zarówno Izraelowi, jak i władzom Libanu. Nasze informacje przekazywane polskim mediom nie powinny w żaden sposób negatywnie wpłynąć na bezpieczeństwo konwoju, a wręcz przeciwnie – uważamy, że dużo lepiej i bezpieczniej będzie dla wszystkich, jeżeli obie strony będą dokładnie poinformowane, gdzie w danym momencie konwój z ewakuowanymi Polakami się znajduje.

Trochę ściska nas w żołądku w momencie, kiedy wjeżdżamy do tunelu między Batrounem a Trypolisem. Nie da się przecież zapomnieć, że zaledwie dzień wcześniej izraelska armia groziła jego zbombardowaniem. Po wyjeździe z czeluści tunelu, po jego północnej stronie, czujemy wielką ulgę. W autobusach gdzieś tam daje się słyszeć prośby o postój. Po krótkiej konsultacji z konsulem przez telefon komórkowy, proponujemy, aby zarządzić kilkuminutowy postój. Mówię, że znam duży i czysty zajazd na obrzeżach Trypolisu. Propozycja zostaje zaakceptowana. Wielkie było zaskoczenie właściciela obiektu, gdy ponad 200-osobowy tłum wysiadł z autobusów. Po krótkim czasie w zajęzdzie wszystkiego zaczyna brakować. Właściciel z całą obsługą dwoi się i troi, aby wszystkich zadowolić. Przecież to jego interes. Wielu naszych ewakuowanych rodaków dopiero teraz, około 100 km od Bejrutu, gdy czuje się trochę bezpieczniej, myśli o jakimś małym upominku dla swoich bliskich w Polsce. Najczęściej kupują arabskie ciastka i słodczyce, bo nic innego już nie ma. Po 15 minutach, widząc, że prawie wszyscy załatwili swoje potrzeby, proponuję, aby odpowiedzialny za ewakuację pułkownik Szeląg, zarządził przez megafon powrót do autobusów. Dla pewności przypominał nam o sprawdzeniu listy w każdym z autobusów. Po chwili, wszyscy rozluźnieni i zadowoleni, opuszczamy Trypolis. Żegna nas, machając ręką, bardzo zadowolony właściciel zajazdu.

Do granicy z Syrią pozostało jeszcze tylko około 35 km. Konsul Krajczyński ma bardzo dobry pomysł. Przez telefon komórkowy proponuje, byśmy razem z ks. Jarkiem wyprzedzili konwój i jak najszybciej dotarli do granicy. Tak też zrobiliśmy. Mając do dyspozycji szybki samochód, zyskujemy jakieś 15 minut prze-

wagi nad konwojem. To wystarcza do tego, aby skontaktować się z oficerem dyżurnym straży granicznej, który następnie wydaje odpowiednie polecenia tak, aby wszystkie formalności związane z przekroczeniem granicy przez tak liczną grupę mogły być załatwione w jakimś najkrótszym czasie. Jego ludzie zrobią wszystko, aby nasze autobusy mogły zatrzymać się jak najbliżej budynków przejścia granicznego. Oficer dyżurny poprosił o to, aby nikt nie opuszczał autobusów. Każda z osób odpowiedzialnych w autobusie ma zebrać paszporty i przynieść je do odpowiedniego biura. Nie obywa się bez małych kłopotów, które jednak dzięki przezorności konsula zostają dość szybko rozwiązane i wszyscy mogą opuścić terytorium Libanu. Konsul zdradza mi tajemnicę, że w jego teczce znajduje się całe biuro konsularne, tzn. wszystkie niezbędne pieczętki, aby w razie potrzeby móc wystawić tymczasowe paszporty na granicy. To bardzo ułatwia całą procedurę.

Nareszcie przejeżdżamy kilkaset metrów ziemi niczyjej, przed nami most na rzece łączący oba kraje, szlaban, no i wreszcie granica syryjska. W tym momencie wszyscy wyraźnie rozluźniają się. Ludzie zaczynają się śmiać, a nawet żartować. Daje się słyszeć: *No, teraz to już jesteśmy uratowani*. Odpowiedzialność za dalsze losy konwoju przejmuje Ambasada RP w Damaszku w osobie ambasadora Hodurkiewicza i konsula Artura Deluga, którzy czekają w gotowości na granicy syryjskiej.

Z ks. Jarkiem uznajemy, że możemy grupę pozostawić pod ich opieką i wracamy do naszej bazy „Don Bosco Technique” w Fidarze. Po drodze dyskutujemy omawiając każdy szczegół przeprowadzonej ewakuacji. Jesteśmy usatysfakcjonowani. Uśmiech i radość ludzi, których dowieźliśmy do Syrii jest dla nas najlepszą zapłatą. Kto wie, co nas teraz czeka. Jedno jest pewne – zostajemy w Libanie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że coś nowego zacznie się w naszym życiu...

W momencie, kiedy wszystko wydaje się być już pod kontrolą, słyszymy w telefonie nerwowy głos Zygmunta Cebuli, radcy handlowego, który pozostał w Ambasadzie RP w Bejrucie. Przypomina on nam, gdzie i w jakiej sytuacji się znajdujemy. *Chłopaki, co się dzieje, do cholery? Dostałem wiadomość, że natychmiast muszę opuścić ambasadę. Będą bombardowania – mówi Z. Cebula*. Mamy jeszcze jakieś 20 kilometrów do „Don Bosco” w Fidarze. Przed nami słynny już tunel, który w każdej chwili może zostać, bądź już został, zbombardowany. Z mojej strony pada jedno, krótkie zdanie: *Panie Zygmuncie, niech się pan udaje natychmiast do „Don Bosco Technique”. Tam sobie poradzimy*.

Zmęczeni i przestraszeni tym wszystkim docieramy do Fidaru. Ks. Vittorio, nasz włoski współbrat, przygłębia nas ostatnimi wiadomościami. Dowiadujemy się od niego o bombardowaniu odległego od nas o zaledwie 2 km miasta Byblos, gdzie zostały trafione dwie ciężarówki. Choć szkody nie są wielkie, przesłanie jest jasne – już w żadnym miejscu w Libanie nie można czuć się bezpiecznie, nawet w naszej szkole. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że właściciele tych dwóch ciężarówek prawdopodobnie przewozili broń dla Hezbollahu i że zostali za to

„obficie wynagrodzeni”. Widać, że są jednak ludzie, którzy dla pieniędzy ryzykują nawet życie.

Lotnictwo izraelskie nie oszczędza koszar armii libańskiej, bombardując je jedno po drugim. Są zabici i ranni oraz poważne straty w sprzęcie. Ucierpiała również dolina Bekaa, gdzie lotnictwo izraelskie zbombardowało konwoj ciężarówek, które według strony libańskiej, przewoziły żywność i lekarstwa dla uchodźców. Strona izraelska zapewnia, że to był transport broni i rakiet dla Hezbollahu. Nawet nie zadajemy sobie trudu, żeby wierzyć jednej czy drugiej stronie. Obie wersje są bardzo prawdopodobne, kto wie, kiedy i czy w ogóle poznamy prawdę. Ponadto Izrael oznajmia, że zbombarduje wszystkie ciężarówki przemieszczające się z północy na południe i ze wschodu na zachód, podejrzewając, że każda z nich może przewozić broń z Syrii z przeznaczeniem dla Hezbollahu.

Organizacja Narodów Zjednoczonych podaje, że już ponad pół miliona ludzi opuściło południowy Liban i szuka schronienia na północ od Bejrutu. Liczba zabitych cywilów przekroczyła już 250 osób, a rannych jest już ponad tysiąc. Coraz trudniej znaleźć tak odważnych kierowców, aby móc przewozić ludzi i pomoc. Niektórzy są jednak gotowi ryzykować w zamian za astronomiczne sumy liczone nawet w tysiącach dolarów za jeden przewóz.

Hezbollah również nie oszczędza terytorium północnego Izraela i mieszkającej tam ludności cywilnej. Choć ataki te mają znacznie mniejsze nasilenie niż jeszcze kilka dni temu. Jest to widoczny efekt wzmożonego ognia samolotów izraelskich atakujących bazy Hezbollahu zlokalizowane na południu Libanu. Jak na razie, nic nie wskazuje na rychłe zakończenie tego konfliktu.

Chwilę po nas do centrum „Don Bosco” dojechał zdenerwowany konsul. Poprosił o możliwość skorzystania z faksu. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych domaga się od niego natychmiastowego przesłania ostatecznej listy ewakuowanych, która z wiadomych względów, zmieniła się aż do ostatniego momentu. Niektórzy zgłosili swoje nazwiska do ewakuacji, ale się nie pojawili. Inni, dość liczni, dotarli do ambasady RP w Bejrucie bez wcześniejszego zgłoszenia. Niestety, pomimo licznych prób, nie udaje nam się tej listy wysłać. W tej sytuacji musimy jak najszybciej udać się do oddalonego o około 40 km Bejrutu, na który ciągle spadają izraelskie bomby. Decydujemy się na natychmiastowy wyjazd, aby z Ambasady RP wysłać polskiemu MSZ potrzebne listy.

Po udanej próbie wysłania dokumentów, słuchając wiadomości w różnych językach, szukamy czegoś do jedzenia. Jest już późno, zbliża się godzina 23.00. Wszyscy namawiają mnie, żebym przenocował w ambasadzie. Podejmuję jednak decyzję o powrocie do „Don Bosco”. Drogi puste. Niebo pełne samolotów. Zaczynam „mieć pietra”. Oddycham głęboko dojeżdżając do bram naszego Centrum, gdzie czeka już na mnie ks. Jarek. Od razu idę spać. Zасыpiając, myślę co nam przyniesie jutro. Całą noc śnię o ewakuacji. We śnie docieram z ewakuowanymi do Polski. Budzę się jednak w Libanie...